Nr. 26. We Lwowie dnia 27. czerwca 1897. Rok 5.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego"

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha

Dra Alfonsa Erlickiego

Wykłady kliniczne o chorobach umysłowych

Warszawa 1897.

Przystępując do sprawozdania o dziele dr. Erlickiego, przewiduję, że może mnie spotkać zarzut, że biorą się do rzeczy nie swojej. Dzieło bowiem tego rodzaju, ażeby mogło być należycie ocenionem, wymaga wiadomości, jakich tylko zawodowe wykształcenie może dostarczyć. Słuszność tego zarzutu uznaję najzupełniej i dla tego, uprzedzając go, pośpieszam z zapewnieniem, że bynajmniej nie myślę się wdawać w naukową jego ocenę. Pozostawiając ją komu innemu, sam ograniczam się do krótkiej tylko wzmianki o niem, w której o to mi głównie chodzi, ażeby publiczność czytająca dowiedziała się o ukazaniu się w naszej literaturze dzieła, jakiego brak oddawna dawał się nam dotkliwie uczuwać. Chociaż bowiem mamy kilka dzieł tego rodzaju, są one albo zestarzałe, nieodpowiadające wymaganiom dzisiejszego stanu nauki, albo też zbyt pobieżne i niewyczerpujące przedmiotu. Przeciwnie dzieło dr. Erlickiego, oparte na najnowszych badaniach, będące nadto owocem długoletniej praktyki, nie tylko przedstawia rzecz swą w świetle dzisiejszej wiedzy, ale nadto podaje wyczerpujący obraz badań na polu psychiatrji. Jeżeli dodamy do tego, że wykład autora, pomimo całej ścisłości naukowej, odznacza się niezwykłą prostotą, czyniącą jego dzieło przystępnem dla każdego czytelnika średnio wykształconego, to będziemy mieli razem zebrane wszystkie zalety dzieła, o jakich mi wolno mówić. Nie dotykam tu pytania, o ile w charakterystyce chorób umysłowych jest autor dokładnym. Odpowiedź na to pytanie do kogo innego należy. Sądzę w każdym razie, że i pod tym względem wywiązuje się on należycie ze swego zadania. Dostateczną tego rękojmią jest stanowisko autora, jako profesora medycznej akademji w Petersburgu.

Pojmuję, że to, co powiadam na pochwałę dzieła pr. Erlickiego, większe miałoby znaczenie, gdyby było wygłoszonem przez lekarza, obeznanego praktycznie z chorobami umysłowemi. I może właściwiej byłoby powstrzymać się ze swem sprawozdaniem w oczekiwaniu, że ktoś kompetentny do niego się zabierze. Zachodzi tylko obawa, czy to oczekiwanie nie narazi dzieła na to, że zanim pojawi się tego rodzaju sprawozdanie, zestarzeje się ono szczęśliwie na półkach księgarskich. Wyrządziłoby się tem krzywdę autorowi, ale większą jeszcze naszemu społeczeństwu. Nastręcza bowiem on swem dziełem jedyną sposobność do dokładnego obeznania się z naturą chorób umysłowych i z ich rodzajami, a przez to samo daje możność sprostowania błędnych zapatrywań na nie i pozbycia się licznych przesądów i uprzedzeń, zostających w rażącej sprzeczności z filantropijnemi dążnościami obecnej chwili.

Choroby umysłowe nie są niczem więcej, jak pewnemi, mniej lub więcej wyraźnemi zboczeniami czynności duchowych, mającemi swe źródło w mózgu. Czynności duchowe są oddziaływaniem mózgu na wewnętrzne wrażenia. Jeżeli więc mózg jest chory, to oddziaływanie jego musi być wadliwem dla tej prostej przyczyny, że wskutek naruszonej równowagi spraw duchowych, człowiek nie jest w stanie przystosować się należycie do zewnętrznego świata. Wszystko mu się przedstawia opacznie, co pociąga za sobą nie tylko błędne sądy i rozumowania, ale nadto budzi w nim uczucia, niczem nieusprawiedliwione i najdziwaczniejsze nieraz chęci i postanowienia. Obłęd więc dotyka nie samej tylko sfery myślenia, ale również uczucia i woli. Powszechnie uważa się za chorego umysłowo tego tylko, co w mowie swej zdradza jawny bezład myślenia; tymcza-

sem bywają chorzy, którzy w swych sądach i rozumowaniach zachowują zupełną prawidłowość logiczną, a grzeszą tylko tem, że kierują się bądź błędnemi spostrzeżeniami, bądź też wypaczonemi uczuciami i chęciami.

Jak czynności umysłowe, tak samo i choroby są złożone i za pomocą analizy dają się sprowadzić do prostszych czynników, jakiemi są tak zwane psychozy. Jakoż autor poprzedza swój wykład o właściwych chorobach umysłowych przeglądem szczególnych zboczeń, jak one przedstawiają się w odosobnieniu od innych, z któremi zwykle łączą się w każdej chorobie umysłowej, tworząc całość konkretną, rozmaicie skomplikowaną, zależnie od wewnętrznych okoliczności. Rozważanie zboczeń szczególnych stanowi przedmiot ogólnej części dzieła, którą możnaby nazwać analityczną, gdyż w niej badanie dokonywa się ze stanowiska czysto abstakcyjnego. Rozpatrzywszy się po kolei w zaburzeniach, jakie zachodzą podczas chorób umysłowych w sferze uczucia, wyobrażeń, świadomości i woli, skreśliwszy zaburzenia fizyczne, tym chorobom towarzyszące, zastanawia się autor nad przyczynami, które owe choroby wywołują. Zalicza do nich: dziedziczność, wpływ wychowania i warunków życia towarzyskiego, upadek odżywiania i choroby wycieńczające, zgrzybiałość, a nareszcie takie jady, jak syfilis, alkohol i inne. Jakkolwiek autor wielkie znaczenie przypisuje odziedziczonemu usposobieniu do chorób umysłowych, nie zgadza się jednakże na to, ażeby ono samo wystarczyło do wywołania z nich którejkolwiek. Potrzebną jest do tego jakaś zewnętrzna przyczyna. Bywa nią zazwyczaj zatrucie organizmu bądź alkoholem, syfilisem lub innym jadem, bądź gwałtowne wzruszenie, cierpienie moralne, albo też ciężka praca umysłowa. Mimochodem potrąca autor o teorję dziedziczności Weissmanna, która ostatniemi czasy tyle hałasu narobiła. Wskazawszy na liczne w niej sprzeczności i zawikłania wskutek których trudno ją nawet rozumieć należycie, odrzuca ją, ja bezpodstawną. W zakończeniu ogólnej części podaje autor krytyczną ocenę ważniejszych klasyfikacji chorób umysłowych i z nich uznaje za najlepszą tę, którą w swych dziełach przeprowadził Krafft-Ebing, jeden z najznakomitszych w obecnej dobie psychiatrów. Jakoż przyjmuje ją autor niemal w całości za swoją. Jeżeli zaś w pewnych szczegółach od niej odstępuje, kieruje się w tem przekonaniami, do jakich doszedł w drodze osobistego doświadczenia.

Część szczegółowa, czyli syntetyczna, zajmuje się opisaniem chorób umysłowych podług przyjętej przez autora kwalifikacji. Przedstawiając cały ich przebieg i zejście, ich komplikowanie się w miarę rozwoju, zastanawia się po kolei nad ich formami szczególnemi, do jakich należą: 1. Psychonewrozy, a mianowicie: melancholja, manja, stępienie umysłowe, halucynacje; 2. Zwyrodnienia psychiczne, jak: obłąkanie pierwotne, obłąkanie afekcyjne, psychozy perjodyczne, pijaństwo okresowe, obłąkanie dwupostaciowe i obłąkanie naśladowcze czyli wspólne; 3. Psychozy na gruncie nerwic: obłąkanie neurasteniczne, histeryczne, epileptyczne, zboczenia psychiczne w pląsawicy (chorei) i w chorobie Bazedowa: 4. Psychozy toksyczne: alkoholizm, delirium tremens, morfinizm i otrucia chroniczne takiemi truciznami, jak: opium, eter, chloral, kokaina i t. d.; 5. Psychozy organiczne: paraliż postępowy, bredzenia ostre, starcze zniedołężnienie umysłowe, psychozy na gruncie częściowych długotrwałych procesów mózgowych i psychozy trawmatyczne; 6. Niedołęstwo umysłowe, nabyte u dorosłych i stany nieprawidłowej działalności psychicznej u dzieci (idjotyzm, kretynizm, niedorozwój moralny).

Z pomiędzy wszystkich chorób umysłowych najstraszniejszą, tem bardziej, że nieuleczalną, jest paraliż postępowy. Ponieważ w naszych czasach przytrafia się on coraz częściej, przeto poświęca mu autor najwięcej miejsca. Osobliwość tej choroby stanowi to, że podlegają jej sami tylko mężczyźni, jakkolwiek główną jej przyczyną bywa zakażenie syfilityczne, któremu przecież podpadają i kobiety. Zważywszy, że zakażenie syfilityczne nie zawsze pociąga za sobą paraliż postępowy, potrzeba przypuścić, że warunkiem jego powstania musi być wrodzone usposobienie, właściwe tylko mężczyznom, a mające swe źródło w tem, że w trudnych warunkach życia, które całym ciężarem spadają na mężczyzn, mózg ich bardziej zużywa się, niż kobiecy, i mniej staje się odpornym na zewnętrzne czynniki.

W końcu dzieła załącza autor kilka trafnych uwag o znanej teorji Lombroso, który bez żadnej podstawy ustanowił antropologiczny typ zbrodniarza, jak również zaliczył prostytucję do objawów zwyrodnienia psychicznego, chociaż codzienne doświadczenie przekonywa, że bywa ona najczęściej skutkiem uwiedzenia, nędzy, złego wychowania i t. d.

Władysław Kozłowski (Lwów).

Wędrówki po Lwowie.

Kwestja mieszkań.

(Dokończenie).

Otóż, wracając do rzeczy, w oglądanem przez nas mieszkaniu spostrzegamy najpierw salon, jedyny pokój większy, o dwóch oknach,

tapetowany, czasem z balkonem i hakiem u powały do zawieszania świecznika: — no, salon byłby niezgorszy. Lecz gdzież dalsze trzy pokoje? Oto oglądamy; sypialny 3 metry szerokości, dwoje drzwi i okno, nigdzie niema ściany do postawienia łóżka — ale to nic, powiadają nam, łóżko stawia się na środku, (teraz taka moda).— Dobrze, dwa postawię, bo więcej nie pomieszczę, a gdzież stanie łóżeczko dla Miecia, Kazia i Mani? Ale gospodarz powiada, że pomieszkanie obliczone na bezdzietne małżeństwo, dzieci mogą spać na podłodze. Przejdźmy do jadalnego; przy kuchni bo jest jadalny, ten zajmuje szerokości 2 . metra, wstawiwszy tam stół jadalny i postawiwszy krzesła pod ścianą, nie podobna już przejść pomiędzy krzesłami a ścianą; a gdzież postawię kredens?— pytam. Maleńki kredensik mógłby tu jeszcze stanąć przy piecu, tylko ostrożnie otwierać go należy, by pieca nierozwalić. Więc dobrze, idźmy dalej do pokoju czwartego, tak zwanej pracowni, no ale ona trochę ciemna, bo okno wychodzi na galerję i zasłonięte dachem. Wielkość pracowni równa się wielkości pokoju jadalnego i łączy się z tak zwanym przedpokojem, bez okna, w którym mieszczą się troje drzwi, a obszar tego przepokoju jest taki, że gdy otworzysz drzwi jedne, musisz najpierw je zamknąć, by drugie módz otworzyć, inaczej bowiem zetkną się drzwi ze sobą i znajdziesz się bez wyjścia. Kuchnia piękna, jak powiada gospodarz, tylko że patelni z dłuższą rączką na niej ustawić nie podobna, bo dotyka przeciwległej ściany i tamuje przechód kucharce, drzwi zaś wychodzą na otwartą galerję, lecz mimo to, jak powiada gospodarz, w zimie ciepła, bo drzwi grube, więc trzymają ciepło. Łóżka dla kucharki niema gdzie postawić, — na co jej łóżko? powiada gospodarz, może spać w zesuwanym szlabancie, który we dnie służy za stół kuchenny.

Jak wiadomo, żadna tak zwana „porządna“ kucharka lwowska w zesuwanym szlabancie spać nie będzie, bo powiada, że tam się leży jak w trumnie, więc woli spać na blasze kuchennej, na ziemi nawet, byle nie w takim szlabancie. Przedstawiam to gospodarzowi, lecz on mię zapewnia, że znajdzie mi taką kucharkę, która będzie spać w szlabancie.

Dobrze więc, tylko z pewnością. Przystąpmyż więc do oględzin siódmej ubikacji, tej słabej strony naszych żon, owej spiżarki, o której gospodyni każda marzy, jako o owym dogodnym składzie wszelkich rupieci i drobiazgów. Ale jest – jest Mości Dobrodzieju i spiżarka, szpiżareczka — i wskazuje w istocie przy kuchni za zlewem framugę, 2 metry kwadratowe obejmującą, zaszalowaną deskami, bez okna, z której wydobywa się woń stęchlizny i pleśni, prócz rojów stonóg i szwabów wszelkiego rodzaju. Ot i szpiżareczka, powiada gospodarz, moja kamienica jedyna w tej ulicy, w której lokatorowie mają takie wygody, a przytem czynszyk wcale nie wielki, bo tylko 650 guldeników rocznie, kwartalnie z góry, z trzy miesięcznem wypowiedzeniem.

Pomieszkanie to, obliczywszy dokładnie, zajmuje 113 metrów kwadratowych przestrzeni, a jeżeli by miało być wygodnem do użytku, niepowinno mieć więcej ubikacji, jak 3 pokoje z kuchnią; we Wiedniu kosztowałoby takie mieszkanie 452 złr. aw.; we Lwowie żądają zań 650 złr., a to dla tego, że tam ocenia się mieszkania według zajmowanej przestrzeni, tu zaś według ilości narobionych ubikacji; za'em na małej przestrzeni możliwie jak najwięcej ubikacji, by tym sposobem czynszownika wyzyskać i ociągnąć czynsz możliwie najwyższy. Tem się też tłómaczy dlaczego w większej części nowo budujących się kamienic we Lwowie są pokoiki tak miniaturowe, że chcąc jako tako pomieścić w mieszkaniu rodzinę z pięciu lub sześciu głów złożoną, potrzeba koniecznie mieć więcej takich miniaturowych ubikacji, a w miarę ilości tychże płacić czynsz wyższy, skutkiem czego mieszkania drożeją stale.

W miarę bowiem podwyższania się cen mieszkań w kamienicach nowych, podskakują także mieszkania w starych budynkach, tak większe jak i mnie'sze i to rodzi ową specjalnie lwowską nędzę mieszkalną. Bo począwszy od pierwszopiątrowego mieszkania wykwintnego przy ulicy Trzeciego maja, a skończywszy na izdebce z kuchenką przy ulicy Bednarskiej, wszystkie one są stosunkowo drogie, płaci się za nie czynsz, nie odpowiadający realnej wartości mieszkania, a ztąd pochodzi owa nędza mieszkalna pomiędzy ubogą ludnością, która kryje się często za murami w pomroce nocnej, a której przypatrzeć się potrzeba bliżej, by pojąć grozę tej nędzy bezdomnych, całą srogość owego kapitału, szukającego zysku kosztem moralności, zdrowia a nawet życia ludzkiego.

Cała skala tej nędzy bezdomnych stoi nam przed oczyma, począwszy od owej specjalnie lwowskiej „stancji kątem“ — a skończywszy na przytułku brata Alberta, owem już bezpłatnem schronisku ludzi bez strzechy.

Obcy przybysz, widząc często ogłoszenia „stancji kątem“, – pyta ze zdziwieniem, co to za rodzaj mieszkania, ale nie zawsze otrzymuje dostateczne wyjaśnienie, bo często i Lwowianin nie wie tego. Oto stancja kątem jest to pomieszkanie, właściwie pokój, wynajmowany kawałkami, czyli kątami. Biedak, mający do dyspozycji w budżecie swoim n. p. tylko 4 złr. na pomieszkanie, a nie mogąc dostać izby za tę cenę, najmuje pokój za 16 złr., zajmuje w nim jeden kąt, a przytem stara się resztę kątów odnająć innym lokatorom i ofiarowuje ten najem za pomocą ogłoszeń, często pod względem ortograficznym jak najfatalniej wy-

pisywanemi kartkami. Za dni kilka lub kilkanaście znajduje czterech lub pięciu współlokatorów różnego wieku, zawodu, płci i stanowiska, którzy gnieceni nędzą bezdomnych, otrzymują od niego tak zwany kąt, czyli kawałek pokoju, ściśle oznaczony i często kredą na podłodze ograniczony, na którym za kilka guldenów czynszu nabywają prawo postawienia sobie łóżka, przespania się tam w nocy i przesiedzenia we dnie wolnej od pracy chwili. Po kilku dniach znajduje się w takim pokoju, kątem wynajmowanym, bardzo liczne grono osób, zupełnie sobie nieznanych, których jedynie potrzeba dachu przynagla do wspólnego pożycia i nawiązania stosunków.

Dalszym ro zajem tej klasy mieszkań, jest najem łóżek, tam już lokator nie wynajmuje całego kąta od ziemi aż do powały, ale łóżko jedynie, na którem mu się tylko przespać wolno w nocy. Łóżko takie jest czasem jedno lub dwupiątrowe, to znaczy, tak urządzone, że nad łóżkiem, na tej samej przestrzeni wznosi się drugie, a nad tem drugiem — trzecie, tak, że lokator przy pomocy drabinki dostaje się na drugą lub trzecią kondygnację łóżka. Naturalnie że w większym pokoju można takich legowisk urządzić i 30, a biorąc tylko 50 ct. za jedno takie legowisko na tydzień, można mieć 624 złr. rocznie za jeden obszerny pokój.— Co za piękny procent od wyłożonego kapitału!

Innym rodzajem podobnych schronisk są tak zwane hotele łóżkowe. Tam już nie najmują się łóżka na miesiące lub tygodnie, ale na noce tylko. W obszernej sali stoi kilkadziesiąt łóżek, jak najgorzej zasłanych barłogów, wyczekujących nocnych gości, przy słabem świetle, całą noc płonącej, u sufitu zawieszonej lampy. Tam to ludzie bez dachu, gdy nadchodzi pora spoczynku po całodziennej ciężkiej pracy, za opłatą 15 lub nawet 10 centów znajdują metr kwadratowy przestrzeni dla złożenia swych strudzonych kości. Biedniejsi, których niestać na wydatek 10 centów na jeden nocleg, tworzą spółki i po dwóch zajmują jeden taki barłog, płacąc po 5 ct. każdy. O gdybyś mógł, czytelniku, zajrzeć do takiej sali sypialnej w hotelu łóżkowym, zapełnionej po północy po brzegi, obaczyłbyś, tam spoczywającą nędzę Lwowa, obaczyłbyś jak mało człowiekowi potrzeba miejsca na spoczynek doczesny, mniej może, jak na wieczny. Ci wszyscy, którzy dziś tu śpią snem sprawiedliwych, jeżeli zbudzą się, jutro może szukać będą już innego noclegu, tańszego. Bo są jeszcze tańsze, — a to na stopniach licznych łaźni lwowskich, gdzie za opłatą 2 centów łaziebnemu wolno ci przez noc całą rozkoszować się na nagiej ławie, w wilgotnem, parą wodną przesiąkniętem powietrzem, pod warunkiem, że skoro wstaniesz rano, pomożesz zamieść izbę łaziebną.

Lecz nie tu koniec naszej wędrówki, bo są jeszcze legowiska letnie, które nic nie kosztują. Są to nowobudujące się kamienice, jeszcze nieukończone, gdzie o zmroku znajdziesz całe towarzystwa, układające się do snu: - jedna cegła pod głowę, za nakrycie służy im kawał podartego płótna i oto całe urządzenie tej improwizowanej sypialni. Ale to wystarcza tylko w lecie, bo gdy mróz, ściśnie a śnieg przyprószy wejścia do tych przyszłych sadyb ludzkich, wówczas już nie można tam urządzać sypialni. Wówczas to przychodzi schronisko brata Alberta na kolej, — ta najpiękniejsza instytucja prawdziwej miłości chrześcijańskiej, ta przystań bezdomnych, nędznych, znużonych, zrozpaczonych, którzy tam łokieć o łokieć spoczywają spokojnie obok siebie na czystych siennikach, pokrzepieni nietylko nadzieją spoczynku, ale poczciwem słowem pobożnego brata, ale modlitwą, wspólnie odmówioną przed spoczynkiem.

O zmroku gromadzą się tam setki tych znużonych życiem, a nikt ich nie pyta: ktoś ty? kto cię rodzi? czy masz grosz na opłatę noclegu? ale pytają tylko: czyś biedny, czyś znużony? a po modlitwie wskażą ci miejsce twoje, byś mógł spocząć bezpiecznie. I spoczniesz spokojnie, niebudzony do rana. Prawda, zdarzy się często w tem schronisku, że latarka stróża bezpieczeństwa oświetli twarze spoczywających: szukają tam złoczyńców, czasem znajdą, zabiorą, opróżni się jedno legowisko, lecz inni śpią spokojnie, snem sprawiedliwych, aż ich dzwonek brata niezbudzi do modlitwy i nowej pracy.

Zaprawdę — nie wspaniałym gmachem sejmu, kasy oszczędności lub kryminału szczycić się powinniśmy przed obcymi, ale tym skromnem, brudnem, niepokaźnem domostwem, które zwiemy przytułkiem brata Alberta, bo gdy w pałacach częstokroć pycha, złoty cielec i zbrodnia rozkładają swe lary i penaty, tu nad temi drzwiami wypisał Chrystus: „Pukajcie a będzie Wam otworzono, spocznijcie, wy biedni, zgłodniali i nędzni tu pod skrzydłem mojej miłości“.

Przed kilkoma laty zgorzała sterta siana przy żółkiewskiej, czy janowskiej rogatce: w popiołach, po niej pozostałych, znaleziono kości spalonych ludzi: nikt nie doszedł, co to byli za jedni, kto tam zginął. Jak kamień w wodę rzucił, zwęglało tam kilkoro ludzi — widocznie byli zbędni na świecie: bo nikt o nich nie pytał, nikt ich nie szukał. Wiem kto to był: byli to bezdomni biedacy, którym niestało na zapłatę nawet najtańszego noclegu, szukali przytułku, znaleźli go w stercie siana — lecz znaleźli tam zarazem i spoczynek wieczny. Wówczas nie było jeszcze przytuliska brata Alberta.

A teraz pytam, co za przyczyna tych fatalnych stosunków mieszkalnych w naszem

mieście? — co za przyczyna, że setki bezdomnych przy każdym zapadającym zmroku biedzi się myślą gdzie złożyć do spoczynku skołataną głowę — czy już za ciasno ludzkości na naszym płanecie? czyżby w istocie brak mieszkań był tego przyczyną? Ale liczne ogłoszenia mieszkań do najęcia zaprzeczają temu stanowczo. Co miesiąca zgłaszane są mieszkania do magistratu, po kilka set, jako stojące pustką bez lokatorów — z drugiej zaś strony setki ludzi jest bez mieszkania, — zatem są lokatorzy, są i mieszkania, ale znaleźć się wzajemnie nie mogą. — Więc nie brak mieszkań jest przyczyną tej nędzy, ale niesłychana, nigdzie w świecie niepraktykowana drożyzna mieszkań, oto właściwa przyczyna.

L H... r.

ADOLF DYGASIŃSKI.

PAN REFERENT.

NOWELA.

(Ciąg dalszy).

Referent z Opoczna byłby i tak nie zrobił tego, o co mu głównie chodziło, gdyby szczęśliwy traf nie przyszedł z pomocą. Pan Walenty bowiem za żadne skarby świata nie wymieniłby tych wszystkich, za których poręczał, i nie wskazałby lichwiarza, który z niego skórę obdzierał. Ale w Pińczowie rozeszła się wieść o przyjeździe starszego Ogrodzińskiego i całe miasto bardzo się zajmowało tem zdarzeniem. Naturalnie, mocno to obchodziło Mordkę i ten postanowił oddać nadzwyczajną wizytę swemu stałemu klientowi, ponieważ ciekawy był obejrzeć jego brata, a przytem, któż tam wie — może przypadkiem da się ubić i jaki geszeft. „Interes rzadko kiedy sam człowiekowi w ręce włazi, trzeba go u ludzi szukać i brać, jeśli dobry“. — Dawał się słyszeć głos Mordka.

Pan Walenty był właśnie w biurze, którego nie zaniedbywał nawet podczas bytności brata w Pińczowie. Lichwiarz delikatnie uchylił drzwi, wsunął do pokoju głowę, potem przekroczył próg i, uśmiechnięty, w ciągłych ukłonach, z czapką w ręce stanął przed panem Marcinem, rozmyślającym właśnie, jakby tu wykryć lichwiarza, który posiada weksle, poręczone przez brata. Zapytany, czego sobie życzy, Czapnik oświadczył, że go sprowadza jedynie dobre serce, przyjaźń dla pana Walentego:

— Nu, w Pińczowie i najmniejsze dziecko wie, co Mordka i Ogrodziński starzy przyjaciele.

Od tego zaczęła się rozmowa, a jakkolwiek Rotszyld pińczowski okazywał wielką wstrzemięźliwość języka, Marcinek, widocznie nie w ciemię bity, odgadł jego rzeczywisty charakter. Swoją drogą żyd także zwietrzył zamiary referenta z Opoczna i pieniądze w jego kieszeni, co natchnęło go takim szacunkiem, życzliwością dla nieznajomego człowieka, że Marcinek pozyskał w nim sprzymierzeńca. To też jeszcze tego samego dnia starszy Ogrodziński odwiedził z koleji Mordkę i po długich targach wykupił wszystkie weksle brata, znajdujące się w rękach lichwiarza, który nadto uroczyście przyrzekł nie przyjmować już nigdy podpisu pana Walentego, jako poręczyciela cudzych zobowiązań pieniężnych. Z tego powodu Czapnik mocno ubolewał, że nie będzie miewał do czynienia z tak „godnym i grzecznym“ człowiekiem.

— U mnie — mówił — poczciwość tyle warta, co gotówka; bo ja wiem, że co dam poczciwemu, to mi nie przepadnie — jakbym miał we własnej kieszeni.

Marcin dopiero na odjezdnem wręczył bratu paczkę wykupionych weksli, a oprócz tego, wypłacił mu z górą trzysta rubli, które pozostały ze schedy.

Szeroko otwarł usta i oczy pan Walenty, mniemał bowiem, że to wszystko jest dziełem poświęcenia braterskiego. Zabolało go niezmiernie, że Marcinek krzywdzi własną rodzinę, niosąc mu pomoc tak wspaniałomyślnie. Rzucał się, nie chciał w żaden sposób przyjąć daru, a nieustannie powtarzał:

— Tylko ja jeden powinienem być ofiarą swojej własnej lekkomyślności!

Pan referent z Opoczna podniecał jeszcze te zgryzoty i wyrzuty sumienia.

— Nie dziw — mówił spokojnie — kiedy się rodzony brat poświęca dla dobra brata; ale powiedz mi, Walusiu, jak nazwać człowieka, który się poświęca, ginie, umiera z głodu jedynie dlatego, ażeby jakiś tam próżniak, nicpoń ostatniego rzędu, miał za co hulać?

— Wiem, wiem, braciszku, jestem skończonym głupcem, osłem!... Jednakże z tego nie wynika, ażeby twoje biedne dzieci zostały ofiarami mojej lekkomyślności.

Kiedy się już tak natruł, nagryzł referent pińczowski, kiedy kilkakrotnie wyrzucił z siebie przysięgę, że swoją drogą weksli nikomu nie będzie nigdy poręczał, a swoją — ofiary brata za nic w świecie nie przyjmie, wówczas Marcinek zaczął go uspokajać.

— Pokażę ci czarne na białem, udowodnię, że z mojej strony nie było żadnej ofiary; nie-

mniej jednak rzuciło się pieniądze gorzej, niż w błoto. Obecnie z ostatniej nędzy wyratowała cię scheda: ale, gdyby nie to, ja, brat, musiałbym o twem ocaleniu z obowiązku pomyśleć, albo — gryźć się twoją niedolą.

Po bardzo tkliwem pożegnaniu, rozstali się nareszcie dwaj bracia referenci.

* * *

W starym Pińczowie bez mała wszystko po staremu. Tylko bardzo nieznaczne zmiany pozachodziły tu i owdzie. Zacznijmy od płci pięknej. Na wieczorkach z tańcami i bez tańców — takie same plotki, obmowy. Tylko panna Aniela coraz częściej przytacza prowizora Skrzekowskiego, tylko pani konsyljarzowa coraz żywiej daje uczuwać towarzystwu, że żona lekarza wcale nie jest pospolitą żoną, i ciągle przypomina paniom pińczowskim ich umysłowe zaniedbanie. Ah, jak ona się nad niemi pastwi, wybucha szyderstwem, jeżeli która nie wie naprzykład, co to są antypody, promienie Roentgena, mediumizm i t. d.! Pan referent i teraz — jak zwykle — albo pracuje w biurze, albo używa przechadzki za mostami na Nidzie, albo z zapałem pochłania powieści. Tylko teraz ma on minę jakąś weselszą, nosi nowy surdut, nowy kapelusz i stojące, bardzo widoczne kołnierzyki. Kasjer, pomocnik, sekretarz, kancelista, zawsze grywają u Fajbusia o kolejkę kieliszków araku. Tylko teraz ubierają się jakoś mniej odpowiednio do bieżącej pory roku. Ha, bo zabrakło w mieście „dobrego" poręczyciela i Mordka nie chce dawać pożyczek! O referencie Ogrodzińskim — ma się rozumieć — rozmawiają wszyscy, zawsze i wszędzie. Od czasu pobytu tutaj Marcinka, pan Walenty nie schodzi z myśli i języka pińczowian.

Atoli nikogo teraz nasz referent nie obchodzi tak żywo, jak Rotszylda pińczowskiego. Lichwiarz uważał sobie za ciężką krzywdę, niejako za urągowisko i psotę losu, że taki „godny, dobry" człowiek nie jest w jego rękach.

— On się teraz zaczął ubierać, żyć lepiej, pieniądz wyraźnie pachnie od niego, a ja żadnego interesu z nim nie robię!

Jastrząb na widok tłustego gołębia, do którego dobrać się nie może, zawołałby, gdyby umiał mówić: „Aj waj mir!" Z powodu tego „dobrego", a dzisiaj niedostępnego referenta Czapnik nie mógł sypiać po nocach. Podobnie jak się zdarza panu mieć dobrego, wiernego sługę, księdzu — gorliwego wyznawcę, nauczycielowi—zdolnego i pilnego ucznia, tak Mordce nadarzył się był idealnie dobry dłużnik i dziś oto lichwiarz opłakiwał jego utratę. Już kilka razy odwiedzał Walusia i zawsze znajdował drzwi zamknięte.

— Nu, po co jemu ludzie, jak on ma teraz pieniądze?

Lichwiarz zapalał się coraz bardziej do idei zbadania rzeczywistego stanu kieszeni referenta i ponownego nawiązania z nim stosunków. Czatował na podsieniu w tej porze, kiedy Ogrodziński używał zwykle przechadzki i udawał, że się przypadkiem spotykają: z całą uprzejmością oddawał pokłon czapką — od czapkowania przezwano go „Czapnikiem".

— Do usług pana referenta!

— Aa, Mordka! Co słychać? — mówił z roztargnieniem pan Walenty.

— Bardzo ciężkie teraz czasy! — odpowiadał lichwiarz z goryczą, a w głosie jego brzmiała niejaka uraza do Ogrodzińskiego.

— Podobno cholera gdzieś około Chmielnika? Słyszał Mordka?...

— Cholera idzie, i interesów niema!

— Przecież chyba w Pińczowie nie brakuje takich, którzy chcą pożyczać?...

— Z przeproszeniem, pan referent żartuje!... Czy ja z każdym chcę mieć do czynienia? Ja tylko z godnym, poczciwym człowiekiem robię interes!

Mówił z takiem namaszczeniem, jak gdyby obdzieranie poczciwych ludzi stanowiło zaszczyt i chlubę. Szedł obok referenta, utyskiwał na ciężkie czasy:

— Mam żonę, mam siedmioro dzieci: sam żyć muszę i one żyć muszą... Nu, a skoro interesów niema, z czego one będą żyły?

Czapnik na chwilę nie przypuszczał, ażeby lichwiarstwo przynosiło mu jakąś ujmę.

— Ja chcę człowiekowi wygodzić, ja lubię człowiekowi wygodzić; ale niech on będzie godny, poczciwy człowiek!

Tymczasem w Pińczowie uczciwy człowiek właśnie nie chciał robić interesu. Jak tylko Mordka zaczynał malować jaskrawy obraz niedoli swoich siedmiorga dzieci, przedstawiać jak go już różni ludzie pozarywali i wydarli mu jego krwawą pracę, Ogrodziński doznawał pewnego wzruszenia, obawiał się, aby go lichwiarz nie nakłonił do jakiego poręczenia i mówił:

— Do widzenia, mój Mordku, do widzenia!

Z temi słowy pędził na mosty jak szalony, a lichwiarz spoglądał za nim, myśląc:

— Widać pieniądze zrobiły go twardym: on dawniej nie był taki!... Żeby on poręczył, dałbym na nizki procent.

Brał trzy od sta na miesiąc, a oto był gotów zrobić poświęcenie i wziąć dwa, gdyby referent dał za kogokolwiek swe poręczenie. Cóż kiedy pan Walenty stosunki z kolegami tak teraz postawił, że się nawet nie odkłaniał, jeśli go który witał. Skądże to poszło? U prowizora aptekarskiego bywały wieczory czwartkowe z preferansem. Kasjer grywał chciwie, podstępnie: liczył niby to na jakieś nieszczę-

śliwe składy, zawsze grał o oczko niżej i ogromnie krzywdził wistujących. Kancelista zachowywał ów spokój ducha, charakteryzujący gracza, który chętnie bierze wygrane pieniądze, a przegranych nie płaci. Sekretarz miał taką metodę zapisywania wpadek, lew i zgranej puli, że nawet baczne oko kasjera nie zdołało częstokroć sprawdzić istotnego stanu rzeczy. Prowizor Skrzekowski grywał szlachetnie, ale nieszczęśliwie i miał zwyczaj biadać, wyrzekać na losy, a gra kasjera doprowadzała go do nadzwyczajnego rozdrażnienia. Otóż, na jednym z takich czwartkowych wieczorów trzej urzędnicy bezprzykładnie ograli prowizora, który w przystępie żalu wyrzucił z siebie:

— Trzeba zawsze wiedzieć, z kim się do gry siada!

— Jak to — z kim? Jak to — z kim? — zapytywali kasjer, sekretarz, kancelista, a potem zaczęli go kpać od ostatnich.

Stało się to w Pińczowie sprawą głośną, która podzieliła towarzystwo na dwa obozy: aptekarski i urzędniczy. Obszernie ustosunkowana w mieście panna Aniela wzięła natychmiast Skrzekowskiego pod swe skrzydła i jak zaczęła odgrzebywać różne sprawki kasjera, sekretarza, kancelisty, tak nareszcie dociekła, że wszyscy trzej sprawiali sobie onego czasu garnitury za pieniądze referenta. Kto wie, czy Mordka nie zdradził tej tajemnicy w nadziei, że Skrzekowski zastąpi mu, choć w części, Ogrodzińskiego. Stronnictwo urzędnicze w odpowiedzi na zarzut, wymierzony przeciw kasjerowi, sekretarzowi i kanceliście, sponiewierało pana Walentego, jako marnego „ciemięgę, gamajdę, kwasigrocha“ i tym sposobem apteka stanęła teraz po jego stronie. Ogrodziński, prowadzący życie na stołku, mimo swoich przechadzek, potrzebował jeszcze od czasu do czasu pewnych pigułek, po które zawsze osobiście chodził do apteki i wtedy go Skrzekowski wyciągał na słówka. Bodźca do rozmowy więcej ożywionej dodawała dzisiaj prowizorowi niechęć i gorycz względem biurokracji pińczowskiej.

Ze zdań nawiasowych, ze sposobu wyrażania się przez półsłówka, ogródki, wtrącenia — głównie rozmawiano o bieżącej literaturze — dowiedział się pan Walenty, że urzędnicy zwą go „ciemięgą, gamajdą, kwasigrochem“, co sobie sam tak wytłumaczył:

— Ich zdaniem, poręczałem weksle z powodu swego ślamazarnego usposobienia i — braku stanowczego charakteru, a nie przez dobroć i chęć niesienia bliźnim pomocy. Za twoje myto, kijem cię obito.

(Ciąg dalszy nast.)

Ustrój i gospodarka Londynu.

(Dokończenie).

Oryginalną pozostałością z dawnych czasów jest fakt, że działalność lordmayora Londynu ogranicza się do śródmieścia; przeważna więc część całego Londynu urzędowo i ustawowo nie należy do stolicy Anglji. Stosunek ten chciał zmienić w r. 1884 dzisiejszy przywódca opozycji w izbie niższej, a ówczesny minister, Sir William Harcourt. Przedłożył on parlamentowi projekt ustawy, na mocy której cały Londyn miał tworzyć jednolitą gminę z lordmayorem na czele, powstała jednak tak szalona przeciwko temu opozycja, iż rząd skorzystał z pierwszej sposobności, ażeby projekt wycofać. Pozostał więc dotychczas prastary ustrój administracji miasta, rozciągającego się na przestrzeń 257 h. z 60.000 mieszkańców. Część ta Londynu stanowi w najwłaściwszym sensi tego wyrazu korporację City of London. Około tego serca miasta światowego grupują się organicznie przedmieścia Londynu. Zajmują one przestrzeń 444.421 akrów angielskich (t. zn. 19,585.5 ha) będącej siedzibą 5,690.000 mieszkańców. Każde z tych przedmieść ma swój własny ratusz, własnego burmistrza i własną administrację miejską.

Różnice, wynikające z administracji poszczególnych tych części, starano się wyrównać zaprowadzeniem tak zwanego a County council. County council odpowiada mniej więcej sejmikom, istniejącym w Prusiech. W r. 1888 utworzono z Londynu osobną prowincję administracyjną (administrative county), obejmującą 694,6 mil kwadrat. ang. County Council w Londynie spełnia wszystkie te funkcje, któremi lordmayor i podlegające mu władze miejskie stosownie do panujących warunków i konstytucji miejscowych zajm wać się nie mogą. Składa się on z przewodniczącego, 19 aldermenów i 118 radnych (councillors), a więc razem z 138 członków, która to liczba może być o jednego członka mniejszą, jeżeli, jak obecnie, przewodniczący wybrany zostaje z grona aldermenów i connsillorów. Czas urzędowania aldermenów trwa lat 6.; urzędowanie radnych zaś kończy się z trzecim rokiem; panuje zresztą zwyczaj, że 9 do 10 aldermenów składa swój urząd również po trzech latach. Radnych wybierają bezpośrednio obywatele, płacący podatek, aldermeni zaś wychodzą z wyboru radnych, a więc co do nich istnieje rodzaj wyborów pośrednich.

Pierwsze posiedzenie pierwszego londyńskiego County council odbyło się 21. marca 1889 pod przewodnictwem lorda Rosebery'go.

Było ono niewątpliwie pierwszym etapem w komunalnym rozwoju stolicy wielkobrytańskiej. Później był prezesem County-concil pomiędzy innymi sir John Lubbock, łączący działalność popularnego pisarza filozoficznego i członka parlamentu z zawodem wielkiego bankiera.

Londyński County-council ma dosyć do czynienia; do niego należą starania o utrzymanie ulic, parków, zakładów komunikacyjnych, szpitali etc. Prócz tego wykonuje on cenzurę teatralną oraz ma nadzór nad licznemi a wspaniale urządzonemi odeonami, osteami etc. Ma on dalej obowiązek opracowywania dla parlamentu pożytecznych projektów ustawowych i wreszcie usuwania zdarzających się nieprawidłowości. Ma on pod sobą dwadzieścia siedem nieustających komisji, którym przedzielono referaty z działalności najrozmaitszych dziedzin administracyjnych.

Podczas ostatniego roku, który się skończył 1. kwietnia 1896, County council odbył ni mniej ni więcej, jak 1200 posiedzeń. Jego komisja finansowa posiada znaczną, ustawami określoną władzę, a odpowiedzialność jego bardzo jest wielką, możnaby go nazwać ministerstwem finansów Londynu. Zaopatruje on rozmaite urzędowe ekspozytury londyńskie potrzebnemi pieniędzmi. Ogólny dług Londynu wynosi według urzędowego wykazu z roku ubiegłego 35,000.000 funtów (około 440,000.000 zł.), żelazny fundusz miasta wynosi 16.600,000 funtów, wydatki roczne wymagają do 3,370,000 funt.

Staranie o chorych i kwestja mieszkań dla robotników stanowiły w ubiegłym roku główny przedmiot działalności londyńskiego County-council. Zbudował on n. p. z funduszów miejskich w zachodniem centrum Londynu olbrzymi dom mieszkalny dla robotników na 324 mężczyzn, pomimo to pod tym względem niejedno jeszcze zrobić należy. Obecnie bowiem mieszka jeszcze 6—3% ludności londyńskiej po więcej niż 4 osoby w jednym pokoju, a przeszło 10% po trzy osoby. A zauważyć trzeba, że mieszkania londyńskie są ciemne i ciasne.

Najprzyjemniejszem zajęciem County-concil jest atoli piecza nad parkami, które ogółem zajmują obecnie przestrzeń 3.656 akrów =(1462. 4 hektarów), a są miejscem wytchnienia dla biednej ludności, zwłaszcza od czasu, gdy zaprowadzono tam bezpłatną muzykę.

Obok tego należy do zakresu działalności County council's piecza nad kanalizacją.

Kanały, ciągnące się przez cały Londyn w ogólnej długości 100 przeszło kilometrów, odprowadzają ekskrementa do trzech miejsc, z których płynne i nieszkodliwe części oddzielone za pomocą specjalnego przyrządu od szkodliwych zdrowiu i stałych części, odpływają do Tamizy. Części zdrowiu szkodliwe, wynoszące rocznie przeszło dwa miljony ton, odwożone bywają na 6 odpowiednio urządzonych statkach do morza. Jakkolwiek według chemicznych doświadczeń woda w Tamizie jest stosunkowo czystą i zdrową, to przecież panuje w Londynie brak dobrej wody do picia, a niejednokrotnie panuje pod tym względem formalna klęska. Przyczyna tego zjawiska polega na tem, że wzgórza, otaczające Londyn, ogołocone są z drzew oraz na tem, że dziwnym sposobem woda, tak samo jak światło i opalanie jest przedmiotem spekulacji prywatnej.

Wodociągi, gazownie i zakłady elektryczne nie są własnością miasta, lecz monopolem towarzystw prywatnych, co w takiem mieście, jak Londyn jest, wprost do niepojęcia. Towarzystwa prywatne dbają przedewszystkiem o dywidendy swoich akcjonarjuszy, a nie o dobro mieszkańców, to też oświetlenie Londynu jest zaniedbane, nawet na najpiękniejszych ulicach panują po zamknięciu sklepów egipskie ciemności.

W epoce mgły już o godzinie 7 nic nie widać: nie zaprowadzono nawet lamp systemu Siemensa. Tu i owdzie są wprawdzie lampy elektryczne, ale o bardzo małej sile światła, zresztą zdarzają się niezmiernie rzadko. Pod względem oświetlenia pierwsze lepsze miasto niemieckie ma pierwszeństwo przed Londynem.

Błędy językowe.

33. Zupełnie bezużytecznym i niepotrzebnym zbytkiem gorliwości jest dodawanie do imion zdrobniałych wyrazu *mały*, np. *mały chłopczyk*, *mała dziewczynka*, *mały lasek, małe jeziorko* itp. Albo jedno, albo drugie; dwa grzyby w barszczu są zbyteczne.

34. Nie mówimy *stopień uczony*, ale *stopień naukowy*.

35. Nie mówi się *dwoch*, lecz *dwóch*. Lepiej pisać *szczególnie,* niż *szczególniej*. Zamiast *jakimeś jakicheś*, należy mówić *jakimś*, *jakichś*.

Z drukarni Z. Goeba we Lwowie